Rok V. Kraków, 1 Marca 1897. Nr. 5.



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na ***Nowy Dzwonek*** razem z ***Nowinami*** i ***Rozmaitościami*** wynosi w **Galicyi:**
rocznie: **3** złr.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **6** mk. — półrocznie: **3** mk.

W Ameryce rocznie: 1½ dolara.

Adres do przesyłania przedpłaty: ***Redakcya Nowego Dzwonka,*** w **Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Każdy, kto złoży **całoroczną** prenumeratę na *Nowy Dzwonek*, otrzyma za to w Marcu b. r. jako premię bezpłatną książeczkę p. t.: **„Pamiątka katolicka“.** Na przesyłkę pocztową tej premii należy dołączyć do prenumeraty **10** centów (z Niemiec **15** fen.).

Kto zaś (oprócz siebie) pozyska dla *Nowego Dzwonka* choćby tylko **jednego** nowego prenumeratora, ten osobno otrzyma za to jako drugą nagrodę książkę do nabożeństwa p. t.: **„Droga do nieba“**

Młodość Bolesława Krzywoustego*).

Ustęp z „Synów Królewskich“ **J. I. Kraszewskiego.**

I.

Noc już była prawie, gdy na osobny podwórzec królewicz Bolko w kilkanaście koni z drużyną swą zajechał, z łowów wracając. On i mało co od niego starsi towarzysze w czwał jak burza i wichry wpadli, przeganiając się we wrota i popędzili przed podsienia, u których służba czekała. Bolko konia

*) Bolesław Krzywousty, król polski, panował od r. 1102 do 1139.

swojego osadził w miejscu żelazną ręką, aż się wspiął do góry i o mało na wznak nie przewalił, skoczył lekko i puścił; dwóch towarzyszów ze swoich szkap zleciało.

Wojsław, ochmistrz królewicza, mający nadzór nad nim, wolniej dociągnął za nimi, gdy już Bolko, otrząsnąwszy się z kurzu, śmiejąc się stał ująwszy w boki.

Ci co pospadali, śmiali się także, dwór cały był dobrej myśli, zwierzyna, nabita oszczepami i strzałami, wisiała na siodłach, wlokła się poprzywiązywana do nich.

Dzień nie był stracony, powiodły się łowy; rżały do stajen i otrząsały się zmęczone konie, psy ujadały wesoło, trzepotały się sokoły, rozprawiali głośno ludzie, a młode chłopię, co tym oddziałem dowodziło, po królewsku spoglądało na swe otoczenie, rzucając ku niemu słowy wesołemi. Ochmistrz tylko Wojsław burczał ponuro, z konia zsiadając powoli znużony.

Śliczniejszego pana nad to chłopię, które z niebios na ziemię zesłał św. Idzi, patron cudowny, nad to dziecię, wymodlone u Boga, widzieć było trudno, jak te ziemie szerokie stały.

Lat dziesięć mając Bolko, już w puszczy bił niedźwiedzie, a gdy z Sieciechem pierwszy raz na wojnę się wyprosił, trudno było powściągnąć i utrzymać dzieciaka, który się parł, gdzie największe było niebezpieczeństwo.

Natura to była owych pierworodnych, do wielkich spraw przeznaczonych — gorąca, niepohamowana, szybka, nierozważna, zuchwała, prędka jak piorun, szalona, jakby się swą młodością upajała.

Gdzie się on ukazał, był jak ogień, co wszystko grzeje; ciepło się robiło, gdy przystąpił, połyskiwały oczy, śmiały się ku niemu usta — słowem: ludźmi miotał jak chciał, rzucał nimi, bo miał owo królewskie słowo, co nie rozkazując nawet, budzi do posłuszeństwa.

Mimo własnej woli krnąbrni nawet biegli, gdzie wskazał; a on sam, skoro go myśl porwała, nie zważając na niebezpieczeństwo, pędził zapamiętale, nie zważając na nic.

Kipiało w nim życie i jak wrzątek wylewało się za brzegi.

Chociaż jedenaście lat ledwie miał skończonych, rycerzem już się mógł nazwać, szanowano go jak dorosłego męża. Nad wiek się rozwinął, zmężniał, zolbrzymiał; tylko nieporosła twarz i policzki niewieście o latach świadczyły.

Gniewało go to, że starszym nie był, ale mu chłopięcych lat niktby był zadać nie śmiał, obawiano go się. Bił ci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał nie drgnąwszy, chłopak od Boga darowany.

Dość spojrzeć nań było, gdy tak stał między słupami, otoczony drużyną, zdala każdy królewicza w nim poznał: kształtny był, krzepki, zwinny, giętki, choć całego swego wzrostu nie miał jeszcze, już duży, ramion szerokich, piersi wypukłej, jakby puklerzem pokrytej, rąk silnych, choć drobnych.

Twarz też była piękna, rycerskiego wyrazu, tylko około ust z jednej strony wrzód, który był nabrał i rozpękł w dzieciństwie, ślad po sobie zostawił, piękne wargi skrzywiwszy nieco. Dziwny to wyraz dawało twarzy, nie szpecąc jej bardzo. Królewicz mawiał, wskazując na szram ten, że broda i wąsy go pokryją. Szkoda tylko, że blizna nie od włóczni jest, ale od lichego wrzodu.

Twarz miał ciemno ogorzałą, bo jej nie szanował i nie krył; czoło tylko jak śnieg białe, policzki rumiane jak jagody, oczy ciemne, w których płomień skryty nieustannie palił się i gorzał.

Gdy stał, choć spokojnym być chciał królewicz, drgał, jakby go wewnątrz coś bolało i spokoju nie dawało.

Gwiazda to była wszystkich, co się do niego zbliżali, kochali go wszyscy, choć i srogim być umiał i popędliwym. Gdy się rozgniewał i rozjątrzył, ubić gotów był druha, choćby go potem opłakał.

Mówili nań niektórzy — Bolesława to onego wielkiego potomek prawy, odżyje w nim tamten, wdał się w niego. Miał odwagę niezłomną Chrobrego, a Szczodrego szał bojowniczy i wspaniałość.

II.

— Ludzi! ludzi!! Do koni! co jest najlepszego! kto żyw dziś zaraz ze mną!

— Cóż się stało miłościwy panie? — podchwycił kłaniając się Strzegoń (dowódca pułku, stary wojak).

— A! psia gromada ujada nad granicą — wołał Bolko. — Zwąchały wilki wściekłe, że my tu świętować mamy. Pomorcy znowu Santok oblegają!

Strzegoń stał pomięszany, nie wiedząc, jak spełnić rozkazy.

— Miłościwy Panie, święto wielkie tuż przed nami! Uroczystość wasza: Sproszone Duchowieństwo, władcy, wojewodowie, król póki żyw chce was przepasać!

— Słuchaj! — krzyknął królewicz — czasu jest dosyć! natychmiast na nich, sprawim się chyżo, zbójów przegnamy i wrócim żywi i zdrowi po pasy! Znam się ja z tą hałastrą, która pierzcha, byleby jej siąść na karki! Strzegóń! stary!

na rany Boże! na całą noc w pochód, kto żyje! Trąbić na ludzi — dodał, rozgorączkowując się — nim księżyc wnijdzie, na całą noc ruszamy.

W chwili poruszyło się wszystko na zamku, bo w rogi uderzono... Chory król, posłyszawszy to hasło wojenne, uląkł się i komornika wysłał z zapytaniem, co się stało.

Bolko biegł z nim do ojca zdyszany. Władysław Herman siedział w swem krześle, z wargą obwisłą, która się teraz rzadko zamykała; oczy miał wlepione we drzwi, czekając wylękły na syna.

Wyciągnął doń ręce...

— Wojna? napaść? — zawołał.

— Santok oblegają te pogańskie syny, ta tłuszcza zbójecka! — począł Bolko — iść muszę!!

Król się zmarszczył.

— A urorzystość nasza? a sproszeni goście?

Rozśmiał się królewicz.

— Będą godowali tu, aż powrócę — zawołał — pierwsza rzecz na pas zarobić, wolę Santok od pasa. Gdybym ja tu rycerzem został, a oni mi zamek ubiegli, gotówbym się na tym pasie obwiesić.

Mówiąc to, rękę ojca całował, który go do piersi przycisnął.

— O! ty! ty! rycerzu mój! — odezwał się pieszczotliwie — pociecho moja! Ilekroć ty idziesz odemnie, strwożone serce idzie za tobą. Tyś mi jedyny, ty nie dasz spustoszyć tej naszej ziemi, a sławie naszej zaginąć — odżywisz ją!

Zapłakał król, ale z radości.

— Ojcze miły — rzekł ściskając go Bolko — gości strzymajcie, niech poczekają mało, aż powrócę. Przyniosę na mieczu pogańską krew, blizny może — z niemi do pasa przystąpić milej mi będzie.

Posmutniał stary.

— Tak ci odemnie pilno! — szepnął.

— Pilno! miłościwy ojcze — rzekł Bolko. — Ta tłuszcza tam stoi i naciska, załoga słaba, ludzi mało... Na noc całą lecę z moimi, któż wie? do dnia może na karkach im siedzieć będę.

Wiedział stary król, że wstrzymywać go byłoby naprożno, westchnął całując i raz jeszcze spojrzał nań, a twarz mu się radością rozśmiała.

III.

Dzień cały po wyruszeniu Bolka wieści o nim nie było. Nazajutrz następowało Wniebowzięcie Panny Maryi, na uro-

czystość wyznaczone. Królewicza oczekiwano niecierpliwie. Król choć chory, kazał się nieść na nabożeństwo do kościoła katedralnego, gdzie Arcybiskup z towarzyszami celebrował.

Brakło mu syna, a myśl, że on tam dnia tego świątecznego bić się musi i nie ma spoczynku, smutkiem mu oblekła twarz pomarszczoną.

Odprawiono nabożeństwo poranne, nastąpiło wieczorne, Bolka jak nie było, tak nie było; nakoniec i noc zapadła — słuchu żadnego nie miano o nim od granicy.

Niepokojąc się król, wysłać kazał jednego z najsprawniejszych swych ludzi, aby się starał dostać języka. Goniec miał już wyruszyć pod noc, gdy za bramami zahuczało, jakby wicher się zrywał; Bolko biegł w kilkadziesiąt koni, z drużyną swą i czeladzią, pierwszy na zamek wracając.

Wszyscy wybiegli przeciw niemu z pochodniami, z radością, wołaniem głośnem.

Powracający Bolko miał na sobie ślady zwycięzkiego boju, który stoczył, odpychając Pomorców od Santoka: jechał z hełmem porąbanym i pogiętym, w zbroi potłuczonej, na której ciężkie razy widać było — na koniu jak on sam poranionym i pobitym. U siodła żelazne rękawice wisiały pogruchotane, oszczep pokrwawiony i nadłamany sterczał, miecza pochwy całe krwią były zbroczone, płaszcz i kaftan miał podziurawiony. Dość było spojrzeć nań, aby widzieć, że sam brał udział w najgorętszej walce i musiał z niej wyjść zwycięzko.

Ci co się znali na rycerskiej sprawie, zobaczywszy go, wyczytali na nim wypisaną całą historyę walki, podnosili ręce z podziwem i uwielbieniem, obwołując młodego pana.

Gdy wszedł tak do ojca, znowu powstały okrzyki na widok zbroi, hełmu i miecza. Król wstał, aby go uściskać i do piersi przycisnąć. Duchowni z poszanowaniem patrzeli. wracał jakby z wojny krzyżowej.

— Bóg niech wam błogosławi — zawołał Arcybiskup Marcin — i niech da, abyście tego męztwa zawsze na obronę wiary i Kościoła używali.

Niemal cała ludność zamkowa zbiegła się do Bolkowej drużyny, która jak on poznaczona była krwawo, ale śmiała się, szczęśliwa ze zwycięztwa.

I oni mieli pogięte zbroje, pocięte ręce i nogi, krew na mieczach, krew na twarzach, a wielką dumę i radość w sercach.

— Co, my! — wołali uniesieni — patrzajcie na królewicza, ten nad wszystkich był dzielnym.

Większa część wojska pozostała przy odsieczonym Santoku. Bolko sam tylko z drużyną przybieżał w skok, aby nim się panowie duchowni rozjadą, otrzymać dobrze wysłużony pas rycerski.

IV.

Po raz może pierwszy w Polsce pasowanie na rycerza tak uroczyście się odbywać miało. Michno (dworzanin królewski, ulubieniec Bolka) kierował niem w kościele i na zamku, bo obrzęd ten na wpół religijny, pod okiem i opieką duchowieństwa dopełnić się musiał.

Strzegł Kościół tego, aby w życiu ludzkiem żadna czynność ważniejsza bez jego błogosławieństwa i uczestnictwa się nie obchodziła.

Następującego dnia Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szedł naprzód na nabożeństwo; odziani skromnie jak pokutnicy przy Mszy świętej wszyscy spowiedź odbywali. Nie godziło się dnia tego żadnej zażywać rozrywki, ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i na nabożeństwie.

Wysłuchawszy nieszporów wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym na ołtarzu wielkim Najśw. Sakramentem i przy płonącej lampie, noc całą przebywali na czuwaniu i modlitwach.

Bolko i towarzysze jego, jednako odziani, suknie mieli z prostego sukna grubego, bez ozdób żadnych, nakształt sutanny, którą duchowni nosili.

Jak tylko rozedniało, wyszedł biskup Filip ze Mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do Stołu Pańskiego.

Szli potem do przygotowanej łaźni, w której wyparzywszy się i obmywszy, zmienili odzież, biorąc bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną.

Zwyczaj, którego Michno pilnował, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami.

Oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi Bolko, lecz stary choć na chwilę go ledz przymusił, aby się obyczajowi zadosyć stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia, na których nie zbywało.

Gdy się odwiedziny te skończyły, Michno, Strzegoń i Leliwa Neńko, stary wojak, przystąpili do odziewania królewicza, wedle obyczaju.

Podał mu pierwszy gzło u szyi i pięści złotem wyszywane,

białe jak śnieg, bo szatę niewinności odznaczające, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę dzianą misternie i plecioną. Ta odznaczała jakby włósiennicę rycerską, godło trudu, bólu i wstrzemięźliwości.

Na ono drugie gzło żelazne wdziewano mu kaftan łosiowy, które pierwsze okrywał, tak jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Na kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolenników.

Na nią Strzegoń narzucił mu płaszcz na ramiona rycerski, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż skwar sierpniowy, na potłuczonem świeżo ciele, sińcami po boju okrytem, ledwie ciężar ten cały dawał udźwignąć.

Tak samo przyodziani zostali towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on zbroje i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Przybrani wszyscy młodzi, pacholęta jeszcze, uroczyście szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie ani w izbie, ani w podworcu, ale w katedrze się odbyło.

Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy Arcybiskup pobłogosławił.

Gdy orszak królewski ruszył ze dworca — podwórza, wały, okna pełne były ciekawego ludu, okrzykującego młodego pana i klaskającego radośnie.

W uroczystym pochodzie szli wszyscy do tumu, starszyzna, kumy za nimi.

Król zasiadł na wezgłowiu pod baldachimem. Duchowieństwo licznie zgromadzone, chór, ławy i prezbyteryum zapełniało. Lud tłoczył się do kościoła.

Szedł naprzód królewicz przed ołtarz wielki, i tu odprawiwszy modlitwę krótką, szedł do ojca, przed którym składać miał przysięgę.

Jedna dla wszystkich rycerska klątwa brzmiała, jako krwią, życiem, mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i Kościoła, walczyć z pogany, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiemu uciśnionemu.

Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza Strzegoń i Michno, aby mu złocone przypiąć ostrogi.

Z ołtarza klerycy, wziąwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał sianą w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy go po ramieniu, drżącemi rękami przypasał mu rycerskie znamię.

Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić był powinien cierpliwie ciosy i razy — za wiarę i za prawdę. Wstał Bolko, cały radością promiemieniejący, dziękując ojcu; a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczyła go starszyzna dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi, trąby i co było gędźby; uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały, w podworcach stojący, nowych witał rycerzy.

Tak się to odbywało w dawnych wiekach pasowanie na rycerzy.

Na dzień Popielcowy.

Jakże to uroczyście brzmią nam znowu dzwony!
Skończył się czas wesoły uciech karnawału:
W progi kościołów Pańskich dąży lud skruszony
Na modlitwę pokutną po pustych dniach szału.

Każdy schylony kornie, w proch uderza czołem
I w żywota tajniki myślą się zacieka,
Kiedy kapłan na głowę sypiąc mu popiołem,
Mówi mu o nicości i końcu człowieka.

O! niech z nas dzisiaj każdy myśl swą na to zwróci,
Dokąd go doprowadzi raz obrana droga?
Że co z prochu powstało, to w proch się obróci,
A co z ducha i wiary, powstanie u Boga.

Niech pomni, że Chrystusa trzymając się wiernie,
Dla cierpień nie rzucając świętych ścieżek cnoty,
Jako Boski Mistrz jego przez krzyż, ból i ciernie
Przejdzie do wieczystej chwały, do stóp swej Golgoty.

Tak święty zakon ojców chowając poprostu,
Usterki swego życia opłakując szczerze,
Zatopieni w modlitwie w dniach wielkiego postu,
Rozmyślajmy o krwawej Chrystusa ofierze.

Posypmy nasze głowy pokuty popiołem,
Niech myśl nasza nad ziemię modlitwą wybuja,
Nim nadejdzie dzień wielki, gdzie znów wraz z Kościołem
Zanucimy radośnie święte: Alleluja!

KASYLDA.

Według podania ludu hiszpańskiego.

I.

Maur Almenon był królem Toledu, z którym król Kastylii, Ferdynand Wielki, zawarł był przyjaźn serdeczną.

Ten król Maurów miał córkę nadzwyczaj piękną i litościwą, imieniem Kasyldę.

Pewna niewolnica kastylijska opowiedziała córce króla Maurów, iż Nazareńczycy (czyli chrześcijanie) kochają Boga, króla, rodziców i małżonki swoje. Niewolnica opowiedziała także córce króla Maurów, iż Nazareńczycy nie zostają nigdy sierotami, bo kiedy tracą matkę tę, która ich porodziła, wtenczas zostaje im jeszcze druga, imieniem Marya, która jest Matką nieśmiertelną.

Lata minęły, a Kasylda rosła w piękności i cnocie. Matka jej umarła, więc zaczęła zazdrościć szczęścia sierotom nazaretańskim.

U stóp ogrodu, który otaczał pałac króla maurytańskiego mieściły się ciemne lochy, gdzie zgłodniali i obciążeni kajdanami jęczeli więźniowie chrześcijańscy.

Zdarzyło się dnia pewnego, iż Kasylda poszła przechadzać się w ogrodach ojca swego i usłyszała jęczących, biednych niewolników. Księżniczka zaczęła płakać rzewliwie i niepocieszona wróciła do pałacu z sercem pełnem smutku.

U bram pałacu spotkała Kasylda ojca, a klękając u stóp ojca, rzekła:

— Ojcze moj i panie, tam w tych lochach jęczy wielu jeńców. Zdejm im łańcuchy, otwórz bramy więzienia i pozwól wrócić do kraju Nazareńczyków, gdzie ich opłakują ojcowie, bracia i małżonkowie.

Maur pobłogosławił córce w głęci serca, gdyż był dobrym i strzegł Kasyldy jak oka w głowie. Biedny Maur miał tylko tę jedyną córkę; kochał ją niezmiernie, gdyż była żyjącym obrazem słodkiej małżonki, której stratę od roku opłakiwał. Ale Maur zanim został ojcem, był muzułmaninem i królem, uważał przeto za swój obowiązek, żeby skarcić śmiałość córki. Litość nad nieszczęściem jeńców chrześcijańskich i wypraszanie ich wolności było zbrodnią, którą Mahomet (założyciel religii mahometańskiej) śmiercią karać nakazał.

Almenon ukrył więc uczucia ojcowskie i rzekł do Kasyldy głosem rozgniewanym i groźnym:

— Precz odemnie małowierna! język ci będzie ucięty, a ciało w płomienie rzucone; karę tę ściąga na siebie ktokolwiek wstawia się za Nazareńczykami.

I szedł wołać katów, aby im wydać swą córkę. Ale Kasylda padła mu znowu do nóg, przepraszając go i zaklinając w imię matki, której stratę od roku opłakiwał.

Maurowi oczy łzami zaszły, przycisnął córkę do serca, przebaczył jej i rzekł:

— Ale strzeż się, moja droga, żebyś już innym razem za chrześcijanami nie prosiła; nawet nie lituj się nad nimi, gdyż wtenczas nie byłoby dla ciebie miłosierdzia. Nasz Mahomet napisał: „Potępiony będzie wierny, który nie tępi niewiernych“.

II.

Ptaszki śpiewały, niebo było błękitne, a słońce złociste. Kwiaty otwierały kielichy, a wietrzyk poranny nosił do pałacu króla maurytańskiego woń cudowną.

Kasylda była bardzo smutna i stanęła w oknie, aby swój smutek rozpędzić.

Ogrody wydały się jej tak pięknymi, iż nie mogła się oprzeć ich urokowi; poszła więc przechadzać się po woniejących gaikach.

Powiadają, że Anioł współczucia w postaci motylka pięknego wyleciał na jej spotkanie i czarował jej oczy i serce. Motylek latał z kwiatka na kwiatek, a Kasylda ścigać go zaczęła, lecz schwytać go nie mogła.

Motylek i dziewczyna przybiegli do grubych murów, a motyl przeleciał przez kraty, zostawiając królewnę za sobą. Po za tymi grubymi murami usłyszała Kasylda narzekania i przypomniała sobie, że tam jęczeli zgłodniali i okuci biedni Nazareńczycy, których opłakiwali w Kastylii ojcowie, bracia, żony i dziatki.

Miłość i litość wzmocniły jej duszę i wyjaśniły umysł. Kasylda wróciła do pałacu; nabrawszy pożywienia i złota, wróciła do lochów, idąc ciągle za motylkiem, który przed nią leciał wszędzie. Złoto było przeznaczone na przekupienie stróżów, a żywność na jeńców nasycenie. Ukrytą żywność i złoto niosła w zawiniętej szacie, gdy nagle na skręcie różanego szpaleru spotkała ojca, który także wyszedł, aby smutek rozerwać.

— Cóż tutaj robisz tak rychło, ty światło oczu moich? — zapytał Maur córki.

Księżniczka zarumieniła się jak róże, które wietrzyk poranny obok niej kołysał; nareszcie odpowiedziała ojcu:

— Przyszłam podziwiać te kwiaty, słuchać śpiewu ptasząt,

patrzeć na przeglądające się w źródłach słońce i odetchnąć wonnem powietrzem.

— A cóż niesiesz zawiniętego we fałdach swej szaty?

Kasylda z głębi serca westchnęła pomocy Matki Nieśmiertelnej Nazareńczyków i odrzekła potem ojcu:

— Ojcze mój, panie, niosę róże zerwane z tych krzaczków.

Almenon powątpiewając o szczerości córki, pociągnął za zwój szaty dziewicy i w tej chwili strumień róż zasłał chodnik cały.

III.

Bladą była dziewczynka, białą jak lilie z ogrodu ojca jej, króla maurytańskiego.

Historya mówi nam, że prawie aż nic krwi nie zostało w żyłach Kasyldy, gdyż codzień miała wybuchy krwi, która farbowała rząd białych pereł, jaki błyszczał za wargami księżniczki.

Bladą była dziewczyna, a król Maurów sechł ze smutku, patrząc na swą umierającą córkę! Wiedza lekarzy z Toledo nie była w stanie przywrócić księżniczce zdrowia. Almenon przywołał więc na dwór swój najsławniejszych lekarzy ze Sewilli i Korduby, ale nikt nie był zdolny jej pomódz.

— Królestwo moje i skarby oddam temu, kto mi uratuje córkę! wołał biedny król, widząc, iż Kasylda wydaje już prawie ostatnie tchnienie.

Nikomu jednak nie udało się pozyskać jego skarbów ni królestwa, a krew, wybuchająca codzień, plamiła rząd białych pereł, co błyszczał na ustach królewnej.

— Córka moja umiera — pisał król Toledu do króla Kastylii. — Jeżeli w królestwie twojem znajduje się ktośkolwiek, któryby mógł ją uzdrowić, niechaj przybywa na głos mój.... dam mu królestwo... skarby... a nawet i córkę.

IV.

Po miastach Kastylii i Leonu biegali heroldowie, wołając wszędzie, że król Toledu ofiarował temu, kto zdrowie jego córce przywróci, królestwo swoje, skarby, a nawet córkę samą, dla której błagał o życie.

Powiadają, iż lekarz przybywający z Judei (ziemi żydowskiej) stawił się przed królem Kastylii i przyrzekł uzdrowienie księżniczki.

A taka mądrość przebijała w słowach tego człowieka, a taka dobroć rozlana na jego twarzy, iż król Kastylii nie zawahał się dać mu listu, zapewniając Almenona, iż mu posyła zbawcę księżniczki.

Zaledwie lekarz przybyły z Judei dotknął się czoła dziewicy, gdy krew przestała sączyć, a barwa różana ukazała się znowu na obliczu chorej.

— Bierz królestwo moje! — zawołał Almenon, szalejąc z radości i z wdzięczności płacząc.

— Królestwo moje nie z tego świata — odpowiedział lekarz z Judei przybyły.

— Weź sobie najdroższy skarb mój — odparł król Toledu, wskazując na córkę.

Dawszy znak zezwolenia, lekarz wyciągnął do Kasyldy rękę i rzekł;

— Są tam w królestwie mojem wody oczyszczające, które dokonają zbawienia dziewicy maurytańskiej.

I dnia następnego księżniczka Kasylda w towarzystwie lekarza z Judei przybyłego, stąpała po ziemi Nazareńczyków.

V.

Kasylda z lekarzem wędrowali, wędrowali ciągle po ziemi Nazareńskiej i zatrzymali się nad brzegiem jeziora o niebieskich wodach. Lekarz wziął kilka kropel wody w wydrążenie i zawołał, wylewając ją na głowę księżniczki:

— Ja ciebie chrzczę, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

I księżniczka uczuła błogość niewymowną, podobną do szczęścia, jakiego podług opowiadania starej niewolnicy chrześcijańskiej zażywali błogosławieni w raju. Kolana się pod nią ugięły, oczy utkwiły w niebieskiem sklepieniu, a naokoło niej zabrzmiało: Hosanna! Na głos ten obróciła głowę. Lekarza przybyłego z Judei nie było już przy jej boku; otoczony jasnym blaskiem wznosił się pod sklepienie niebieskie.

— Kto jesteś, Panie, kto jesteś? — zawołała księżniczka nagle oświecona.

— Jestem twoim Oblubieńcem: jestem Tym, co wrócił zdrowie córce Jaira, która cierpiała tak samo, jakeś i ty cierpiała; jestem Ten, który rzekł: „Kto opuści dom swój, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo synów, albo ojczyznę w Imię Moje, powetuje ich stokroć i posiędzie żywot wieczny“.

Na brzegu niebieskiego jeziora, które za dni naszych nazwano jeziorem Sant-Vincente, w kraju Briviesca, wznosi się mała pustelnia, gdzie samotnie mieszkała córka maurytańskiego króla Toledu. Dzisiaj nazywamy ją świętą Kasyldą.

Uszanowanie starca.

Życie ludzkie zwykle mierzy się na lata. I gdy widzimy włos siwy, czoło poorane, ramiona pochylone, przedstawiamy sobie długi szereg lat człowieka starego, szanujemy jego doświadczenia, a zarazem pytamy się, ile ten człowiek przecierpiał, ile zdziałał, jak zasłużył się narodowi.

Gdyby przecież można zważyć życie człowieka wedle tego, jak on je poświęcił pracy wytrwałej, poczciwości i prawdzie, jak on w niem nic nie stracił marnie, ileżby ono wydało się dłuższe jeszcze; człowiek, choć co do lat niestary, przewyższyłby pod względem zasługi życie niejedno długie a próżne.

Każdy z ludzi winien starać się o to, by życie jego nie liczyło się tylko na lata życia, ale na lata pracy i zasługi, ale każdy też, choćby najbardziej zasłużony, powinien starca uszanować.

Oto dziś opowiemy wam piękne zdarzenie.

Było to za czasów króla Stefana Batorego. Król ten zmuszony był prowadzić wojnę z Moskwą, która się długo ciągnęła, aż wreszcie roku 1582 została przerwaną chwilową ugodą.

Jan Zamojski, sławny hetman i doradca królewski, po długim pobycie w polu w czasie zimy, wracał już do domu. Choć zmęczony, choć pragnął co najprędzej być w domu, szanując obyczaj dawny, w sobotę wieczór został we Lwowie, aby w niedzielę nie jechać i nie opuścić Mszy św.

Zamojskiego imię było głośne. Każdy w kraju wiedział, że roztropnie i poczciwie dla sprawy ojczystej pracuje, każdy też, skoro usłyszał, że hetman jest we Lwowie i u księży Dominikanów będzie na Mszy św., spieszył tam, aby ukochanego bohatera obaczyć. Z tej przyczyny powstał w kościele ścisk wielki.

W czasie kazania szmer jakiś dał się słyszeć. Ten i ów obrócił się ku drzwiom. Spojrzał też i hetman Zamojski, siedzący na miejscu wywyższonem przy wielkim ołtarzu. Z pomiędzy niezliczonego tłumu wysunął się starzec siwy jak gołąbek, oparty na kiju, a tak był osłabiony, że ledwie szedł. Czoło jego poorane starością, oznaczone licznemi bliznami, dowodziło, że człowiek ten musiał życie przepędzić w twardej służbie obrońcy narodu.

Staruszek stanął zdaleka i z zachwyceniem patrzył na młodego hetmana. Zamojski jednak, widząc, że nikt w kościele miejsca staruszkowi nie robi, dał mu znak, aby usiadł koło

niego. Łza zakręciła się w oczach starego wojownika. Skłonił się i podziękował.

Ale Zamojski powstał na to, zbliżył się do starca, wziął go za rękę, przyprowadził na swe miejsce i zmusił go, by usiadł razem z nim.

— Panie! — szepnął starzec — tyś starszy... hetman, mąż znany w narodzie, a ja — ubogi starzec.

— Bliznami i wiekiem tyś starszy nademnie — rzekł Zamojski i dalej słuchał kazania, a potem Mszy św.

Wszyscy obecni w kościele nie mogli wyjść z zadziwienia.

Słusznie też zapisano potem w księgach starych te słowa: Sławą i potęgą stał wyżej nad sta i tysiące ludzi, wielką duszą zasługi nad krocie i miliony, a przecież pierwszeństwo oddał starcowi.

Uszanowanie starców, to najlepszy obraz oświaty i szlachetności narodu. Jakiekolwiek byłyby wady tych ojców naszych, jakiekolwiek ich winy — my winniśmy cześć należną im okazać.

Przykład tutaj opowiedziany nie strzeże nas od przewinień względem ludzi osiwiałych. Choć może oni mniej od nas posiedli nauki, choć może nie zrobili tego w życiu długiem, co my w krótkiem, pomnijmy zawsze, że zanim włos ich pobielał, a skroń poorana została, wiele lat przeszło i życie zmęczyło.

Niech ten najstarszy, kto najwięcej liczy lat, ale ten zawsze godzien uszanowania, kto stoi nad grobem i włos ma siwy.

Dlatego też — owo zdanie:

Szanuj włos siwy,
Będziesz szczęśliwy —

złotemi literami w każdym domu powinno być wypisane.

Morowe powietrze, czyli dżuma.

(Z zapisków lekarzy).

Z dalekiego Wschodu ciągle dochodzą wieści o starym wrogu ludzkości — dżumie. Stary to wróg, bo niszczył on ludzkość jeszcze w czasach przedchrześcijańskich, a później w wiekach średnich, jak świadczą dawne kroniki, już nie dziesiątkował ludzkość, ale pochłaniał czwartą jej część. Szczególnie w wieku 14-tym, to jest przed 500 laty, śmierć czarna, czyli dżuma, takie uczyniła w Europie spustoszenia, że jej ofiary liczono na setki tysięcy.

W naszym wieku Europa nie ucierpiała zbyt wiele od dżumy, jakkolwiek w r. 1878 i 1879 groziło jej wielkie niebezpieczeństwo, gdy dżuma zawitała do Rosyi i rozgościła się nad wschodnim brzegiem rzeki Wołgi. Stłumiono atoli w porę zarazę i palono wsi, chcąc przeciąć wrogowi dalszy pochód i dopięto celu.

W niespełna lat 20 znów widzimy tego wroga, zbliżającego się do Europy, ostrożności jednak przedsiębrane przez państwa każą nam mieć nadzieję, że i tym razem może do Europy dżuma nie przyjdzie.

Ojczyzną dżumy, jak i cholery są Indye. Tam dżuma prawie ciągle grasuje i nigdy nie wygasa, a to dlatego, że ludność tamtejsza kiepsko się odżywia i odszczególnia się niechlujstwem wielkiem. W miejscowościach, gdzie ludność lepiej się odżywia, gdzie dba o czystość pomieszkań i ubrania, tam dżuma nie jest straszną.

Dżuma jest chorobą zaraźliwą, którą wywołują drobniutkie ustroje, czyli zarazki. Te zarazki rozprzestrzeniają się nietylko bezpośrednio od chorych, ale i od przedmiotów, które były z chorymi w zetknięciu.

Zaczyna się dżuma dreszczem wstrząsającym, oraz zaburzeniami w kiszkach i żołądku, przyczem ciepłota ciała się podnosi. Gdy przebieg choroby jest lżejszy, chorzy zaczynają się uskarżać na bole w gruczołach na szyi, pod pachą i t. p. Gruczoły brzękną, ropieją i po trzech do sześciu dniach wrzodzieją; po silnym pocie chory wraca do zdrowia.

W ciężkich wypadkach gorączka jest silniejsza, chory bredzi, gdy gruczoły obrzmiewają, uważają to za znak pomyślny. Choroba trwa 4—6 dni, a wyzdrowienie znacznie dłużej.

W najcięższych zaś, to jest śmiertelnych wypadkach, które są zarazem i najczęstsze, chory leży przytomny, lecz przygnębiony, następuje odrazu upadek sił, krwotoki wewnętrzne i znaki rozkładu krwi. W ciągu kilkudziesięciu godzin chory umiera bez ratunku.

A gdy takiemu uda się wyzdrowieć, to i tak długiego życia już spodziewać się nie może, bo wnet podpada innym chorobom. Mianowicie tworzą mu się ropnie podskórne, albo dostaje zapalenia ucha środkowego, zapalenia płuc, porażenia mózgu, lub obłąkania.

Wobec tej grozy ważną jest wieść, że dr. Jersin wynalazł sposób szczepienia dżumy podobnie, jak się szczepi ospę. Dr. Jersin wyleczył w Chinach wiele osób zadżumionych, ową „surowicą“ przeciwdżumną.

Taką samą surowicę przeciwdżumną wyrabiają już w Paryżu. Piszą gazety, że prezydent Francyi, For. odwiedził niedawno pewien zakład naukowo-lekarski (instytut Pasteura), gdzie dr. Roux objaśniał mu fabrykacyę surowicy przeciw dżumie.

Według zdania tego doktora, zarazki dżumy rozwijają się w ziemi i przechodzą najpierw prawdopodobnie przez zwierzęta, zanim się dostaną do ciała ludzkiego. Zarazek ten ginie łatwo w rozczynie kwasu karbolowego. Rozwój jego w Indyach należy przypisać głównie niechlujności tamtejszych mieszkańców. Nie potrzeba się tedy bardzo obawiać, gdyby dżuma pojawiła się w Europie, bo tu wnetby wygasła.

W każdym razie, mówi znowu inny lekarz, jakkolwiek wielkie mogą być skutki nowej surowicy przeciwdżumnej, to w pierwszym rzędzie najlepszym środkiem ochronnym jest życie umiarkowane, przedewszystkiem zaś przestrzeganie czystości w pomieszkaniu, zdrowa woda i zdrowe powietrze.

Do niniejszego numeru dołącza się 5-ty numer ***Nowin*** i ***Rozmaitości.***

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.